

**WIARYGODNE
CHRZEŚCIJAŃSTWO**

JÓZEF PUCIŁOWSKI OP

**W I A R Y
G O D N E
C H R Z E Ś C I J A Ń S T W O**

O KOŚCIELE Z MIŁOŚCIĄ
ACZ CIUT ZŁOŚLIWIE

© Wydawnictwo WAM, 2019

Redakcja: Sławomir Rusin

Opieka redakcyjna: Kama Hawryszków

Korekta: Małgorzata Sękalska Strefa Słowa, Katarzyna Onderka

Skład i opracowanie graficzne: Lucyna Sterczewska

Projekt okładki: Jan Krzysztofiak

Fotografia na okładce: Grażyna Makara

Za zgodą

Przełożonego Polskiej Prowincji Dominikanów,

Pawła Kozackiego OP, prowincjała,

Warszawa, 15 października 2019 r., Reg. Prow. 615/19.

ISBN 978-83-277-2252-2

WYDAWNICTWO WAM

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200

e-mail: wam@wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255

e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA

tel. 12 62 93 260

www.wydawnictwowam.pl

Druk i oprawa: SKLENIARZ • Kraków

Publikację wydrukowano na papierze IGEPa super brite 70 g vol. 2.0
dostarczonym przez IGEPa Polska Sp. z o.o.

CZTERNAŚCIE LAT MINĘŁO...

Był rok 2005. Pewnego wrześniowego dnia ówczesny przeor konwentu Świętej Trójcy w Krakowie ojciec Adam Sulikowski przyszedł do celi ojca Józefa Puciłowskiego z propozycją odprawiania „na stałe” niedzielnej mszy świętej o godzinie 13.30.

Ojciec Józef już od ponad roku przebywał w krakowskim klasztorze, do którego przybył z Budapesztu, po zakończeniu swojej drugiej kadencji na stanowisku Wikariusza Generalnego Wikariatu Węgierskiego. W tym czasie wykładał historię Kościoła w dominikańskim Kolegium Filozoficzno-Teologicznym, a od kilku miesięcy – na polecenie ówczesnego prowincjała Macieja Zięby – zapoznawał się z odtajnionymi przez IPN materiałami dotyczącymi inwigilacji Prowincji Polskiej Dominikanów przez służby bezpieczeństwa PRL, czego owocem była między innymi wydana w 2017 roku książka *Portrety imienne i bezimienne. Polscy dominikanie a безпеaka 1945–1989*.

Nie wiem dokładnie, od kiedy istniała niedzielna msza święta o godzinie 13.30. Pamiętam jedynie, że od mojego przybycia do Krakowa w 2001 roku – jeszcze jako brat student – zbierałem na niej od czasu do czasu tacę. Lubiliśmy chodzić za składką podczas „Trzynastki” (bo tak potocznie ją nazywano i nazywa do dzisiaj), głównie dlatego, że uczestniczyło w niej bardzo mało osób, szybko więc było po robocie. Słaba frekwencja sprowokowała nawet w klasztorze dyskusję nad jej „wygaszeniem”. Jednakże nowo wybrany przeor, wspomniany wyżej ojciec Sulikowski, postanowił utrzymać ją w grafiku i na wzór mszy świętej

akademickiej czy „Kłoczowej 12-stki” powierzyć ją „na stałe” któremuś z braci.

Wybór padł na ojca Puciłowskiego. Znam tę rozmowę tylko z relacji, ale prawdopodobnie ojciec Józef bronił się, używając tylko jednego argumentu: „nie umiem śpiewać”. Przeor miał mu wtedy powiedzieć – i tu relacje się różnią – by wziął sobie do pomocy któregoś z młodszych, śpiewających braci. Ojciec Józef natomiast twierdzi, że przeor wprost zaproponował mu. Niezależnie od tego, kto ma rację, minęło już czternaście lat, od kiedy odprawiamy wspólnie niedzielą 13-stkę.

Nie wiem, czy była to pierwsza celebrowana przez nas 13-stka, czy któraś z kolei, ale pamiętam dokładnie słowa, które padły z ust ojca Józefa podczas ogłoszeń: „Postanowieniem ojca przeora obaj będziemy odprawiać tę mszę świętą. Będzie tak, że jednej niedzieli ja będę głosił, a ojciec Dawid śpiewał, a drugiej niedzieli ojciec Dawid będzie głosił, a ja nie będę śpiewał”. To „głoszenie i nieśpiewanie” bardzo szybko zapełniło krakowską bazylikę. Kameralna i „spacerowa” 13-stka przeobraziła się w dużą mszę, na której można było spotkać także wiele znanych i medialnych postaci: inteligencję, polityków, ludzi kultury, sportu, dziennikarzy.

Niniejsza książka jest – można by rzec – owocem 14-letniego głoszenia ojca Józefa. Punktem wyjścia każdego kazania był przypadający na daną niedzielę fragment Ewangelii. Komentarz nie ograniczał się jednak tylko do niej. Wzorem swoich duchowych mistrzów jeszcze z czasów wrocławskich (gdzie studiował, a następnie pracował przed wstąpieniem do zakonu) ojciec Józef starał się pokazywać przewodnią myśl, łączącą całą liturgię słowa, by następnie odnieść ją do konkretnych sytuacji życiowych, rodzinnych, społecznych.

Nie jest moją intencją zrobienie wprowadzenia do treści tej książki. Chciałbym jedynie zarysować kontekst, w którym rodziły się zawarte w niej myśli.

Po pierwsze, przygotowanie kazania ojciec Józef postrzega przede wszystkim jako namysł nad słowem Bożym, poznawanie ciągle na nowo Pisma, odkrywanie tego, co przez konkretne fragmenty Pan chce powiedzieć dziś Kościołowi, nam żyjącym w konkretnym miejscu i czasie. Ojciec Józef czasem wspomina swojego dziadka. Ten, gdy działy się różne (często trudne) sytuacje, czy to na Węgrzech, czy na świecie, czy też w rodzinie, brał Pismo Święte i zawsze miał gotowy fragment, który cytował, mówiąc: „oto odpowiedź”.

Po drugie, jestem głęboko przekonany, że głoszenie jest dla ojca Józefa istotnym elementem nie tylko jego posługi kapłańskiej, ale i życia. On naprawdę lubi głosić. Chce wiedzieć z kilkudniowym wyprzedzeniem, kiedy ma mieć kazanie i zamyka się w swojej celi, otaczając się stertą książek, biblijnych komentarzy. Tak, kazania ojca Józefa są wypełnione cytatami, co czasem spotyka się z „żartobliwymi uśmiezkami” ze strony braci: „ciekawe kogo dzisiaj zacytuje?”. Jednakże jako osoba bliska autorowi tej książki wiem, skąd się to bierze. Przede wszystkim – i nie waham się tego powiedzieć – ze skromności. Józef nie chce uchodzić za „mędrca”, który zna odpowiedź na wszystkie pytania. Zachował niesamowitą „młodość umysłu”, polegającą na tym, że jest chłonny wiedzy. Józef ciągle czyta, studiuje, kupuje i pożycza książki, nadal ma swoich „mistrzów”, którym często woli „oddać głos”.

Owe cytaty to także wyraz troski. Jakiej? Pamiętam pewne niedzielne kazanie ojca Józefa, podczas którego pod uniesionym

głosem mówił: „po dwudziestu pięciu latach obecności religii w szkole poziom wiedzy teologicznej i religijnej w Polsce jest zatrważająco niski”. Zupełnie niedawno Józef powiedział mi, że cytuje podczas kazań, mając nadzieję, że może przynajmniej dwie albo nawet jedna osoba zainteresuje się, sięgnie po daną książkę, tekst i przeczyta. Kazania – w zamyśle ojca Józefa – mają być nie tylko biblijnym komentarzem, lecz także pewnym bodźcem do samodzielnych poszukiwań.

Niech zatem ta książka, którą Czytelnik trzyma w ręce, spełni pragnienie „trzynastkowego” kaznodziei. Jestem głęboko przekonany, że jest to Jego największym pragnieniem.

Dawid Kusz OP

WIARA,
KTÓRA NIE BOI SIĘ
MYŚLEĆ

WIARA WOLNA OD PRZEPISÓW, CZYLI POWOŁANI DO WOLNOŚCI

Mk 2,23–3,6

Uzdrowienie w szabat – czyli praca w dzień Pański – stanowi znak, iż „to szabat został ustanowiony dla człowieka, a nie człowiek dla szabatu. Zatem Syn Człowieczy jest Panem także szabatu”. Bo to Pascha Chrystusa – a nie ludzkie prawa – wyzwoliła człowieka z niewoli.

W IV wieku w sukurs chrześcijaństwu przyszło prawo państwowe Cesarstwa Rzymskiego, „stanowiąc”, że w dniu słońca, czyli w pierwszy dzień tygodnia, sędziowie, mieszkańcy miast oraz członkowie różnych cechów rzemieślniczych mieli nie pracować. Chrześcijanie radowali się z usunięcia przeszkód, które aż do tej chwili sprawiały, że przestrzeganie dnia Pańskiego wymagało nieraz heroicznej odwagi. Od tej pory mogli bez trudności oddawać się wspólnej modlitwie.

Ten fragment Ewangelii św. Marka przypomina jeszcze o ważnej kwestii: spójności natury boskiej i ludzkiej w Jezusie Chrystusie. Był bowiem w dziejach teologii okres – co potem przeniesiono na ambonę – oddzielenia Chrystusa-Boga i Chrystusa-Człowieka oraz osobnej refleksji nad Boskością i nad człowieczeństwem Jezusa.

A przecież przywołane tu słowa św. Marka mówią o Jedności! Ta jedność w Chrystusie ma zasadnicze konsekwencje

dla każdego ochrzczonego: człowiek ochrzczony wszędzie daje, dać winien, świadectwo swojej wiary. Na pewno najmniej przez słowo, gadanie (choć też), a bardziej przez świadectwo życia. Nie na pokaz, ale z przekonania. Na duchownych wszystkich szczebli – głosicieli! – owa Jedność nakłada powinność, by byli, jak mówi papież Franciszek, „pasterzami, a nie urzędnikami”.

A gdzie indziej papież głosi: „Kiedy Kościół chce się szczyścić ilością, zakłada organizacje, urzędy i staje się nieco biurokratyczny, wówczas traci swoją istotę i naraża się na niebezpieczeństwo stania się «organizacją pozarządową»”. Mocne słowa Franciszka. Bo Jemu zależy (i każdemu chrześcijaninowi zależy powinno), by w Chrystusie nie robić podziału na Boskość i Człowieczeństwo. By nie patrzeć Mu na ręce, że uzdrawia w szabat lub że w dniu świątecznym pozwala zrywać uczniom kłosa!

Prawo Pańskie bowiem – Jezusowe Prawo – winno być interpretowane jako wyzwalające człowieka, a nie zamykające, zawłaszczające! Prawdziwa miłość (a za nią stoi prawo Zbawiciela) nigdy nie zniewala, nie zawłaszcza – a czyni człowieka wolnym! Warto, by o tym pamiętali rodzice, wychowawcy, duchowni, przyjaciele.

Mt 17,22–27

Prześladowanie. Wrogość. W najlepszym wypadku niechęć. Zawsze były, są i będą udziałem chrześcijan, chrześcijaństwa! Kościół, Kościoły chrześcijańskie, chrześcijanie powinni być najbardziej czujni, gdy są: „doceniani”, głaskani, uprzywilejowani.

Takim klasycznym przykładem Kościoła miejscowego, który bardzo źle wyszedł na owym „głaskaniu”, był w XX wieku Kościół w Hiszpanii za czasów generalissimusa Franco. Stał się ten Kościół wtedy częścią faszystowskiej dyktatury! Do dziś zbiera tego owoce!

W czasie pielgrzymki Benedykta XVI do Polski w maju 2006 roku padły z ust papieża ważne słowa i mimo upływu dwunastu lat od ich wypowiedzenia nie tylko nie straciły na znaczeniu, ale są aktualne, zwłaszcza po lekturze przywołanego fragmentu Ewangelii Mateuszowej.

Papież na placu Józefa Piłsudskiego w Warszawie mówił: „wiera nie oznacza jedynie przyjęcia określonego zbioru prawd dotyczących tajemnic Boga, człowieka, życia i śmierci oraz rzeczy przyszłych. Wiara polega na głębokiej, osobistej relacji z Chrystusem, relacji opartej na miłości Tego, który nas pierwszy umiłował (por. 1 J 4,11), aż do całkowitej ofiary z siebie. Bóg (...) okazuje nam swoją miłość [właśnie] przez to, że Chrystus umarł za nas, gdyśmy byli jeszcze grzesznikami”.

Na Jasnej Górze powiedział: „Mądrość ewangeliczną, zaczerpniętą z dzieł wielkich świętych i sprawdzoną we własnym życiu, trzeba nieść w sposób dojrzały, nie dziecinny, i też nie agresywny, w świat kultury i pracy, w świat mediów i polityki, w świat życia rodzinnego i społecznego”. Tyle Benedykt XVI.

„Chrześcijanie nie powinni starać się przekrzykiwać reklam tego świata, ale raczej prowadzić w ciszy do świątyni sumienia, gdzie Bóg przemawia do nas delikatnymi podmuchami” (T. Hálík).

Mt 19,16-22

Zapewne zwróciliśmy uwagę – czytając i słuchając wiele razy ten tekst – na dwie informacje. Pierwsza to fakt posiadania. Druga to relacja między posiadaczem a wartością materialną. Młody człowiek nie oszczędził dlatego, że posiadał majątek, ale z tego powodu, że nie wiedział, co z nim zrobić. Zrozumiał, że nie on jest właścicielem „posiadłości”, ale że posiadłość ma w posiadaniu jego. Jest niewolnikiem tego, co ma.

Oczywiście, owa „posiadłość” – zwłaszcza dziś – to niekoniecznie zasoby materialne, wielkie majątki, domy, czy po prostu pieniądze na koncie. To także nasze przyzwyczajenia. Poglądy. To opinia innych, którzy krzyczą: „nie rób tak”, „nie myśl tak”.

Nie chodzi o to, żeby być poza zasadami, żeby niczym się nie ograniczać. Chodzi o to, żeby nie być niewolnikiem grupy, wspólnoty. Sama grupa też może nie być wolna. Czasem człowiek staje się niewolnikiem czegoś, co winno służyć jemu i innym. Nie szukajmy daleko, nie zaglądamy do portfela ani nie patrzmy na stan konta. Popatrzmy na czas! Do czego nam służy? Dla kogo on jest? Na co go przeznaczamy? Czy umiemy dzielić się nim, a także szanować cudzy czas?

Na koniec przytoczę słowa lubianego przeze mnie autora – ks. Tomaša Hálika z Czech (wiem, że wielu go nie lubi, ale to ich problem). Otóż komentując ten tekst, pisze: „Czy udało się nam już kiedyś w życiu zatrzymać i zadać sobie pytanie, co jest dla mojego życia najistotniejsze, w czym mogę znaleźć sens, co jest tym celem, którego nie chciałbym ominąć – i jaka droga do niego prowadzi? Czy szukaliśmy odpowiedzi

jedynie u wielu «dobrych mistrzów», czy też mieliśmy odwagę przedłożyć ją Chrystusowi – i to ze świadomością, że w Jego Ewangelii nie usłyszymy tylko niezobowiązującej porady, lecz słowo Boże? To słowo, które jest żywe, skuteczne i ostrzejsze niż wszelki miecz obosieczny (...), zdolne osądzić pragnienia i myśli serca”.

Mk 9,14–29

Góra Przemienienia, wedle wielu – Tabor. Tam miało miejsce zstąpienie Boże w rzeczywistość, w codzienność, z jej pytaniami, rozterkami i zwątpieniami. Pokora Boga.

Ale jest też pycha. Pycha uczniów, którzy na górze nie byli, a jak wynika z narracji Marka, próbowali własnymi siłami uzdrawiać chorego na epilepsję, jak wtedy uważano – opętanego. Daremnie. Tymczasem Pan Jezus, który uzdrowił chłopca, odwołuje się do podstaw kontaktu z Bogiem: modlitwy i postu. Modlitwy – źródła łączności z Bogiem i postu, którego jądrem jest skrucha.

Modlitwa i post prowadzą do nadziei skierowanej „ku przyszłości” (T. Hálík). Ona zaś umacnia wiarę, której w tym fragmencie Ewangelii uczniowie nie mieli w sposób dostateczny. Papież Franciszek w encyklice *Lumen fidei* wyraźnie mówi: „Wiara jest bezinteresownym darem Boga, który wymaga pokory i odwagi, by zaufać i zawierzyć się, i w ten sposób dostrzec świetlaną drogę spotkania między Bogiem a ludźmi, historią zbawienia”. Tylko pamiętajmy: „Wiara wymuszona oczywistością i niepodważalnymi argumentami lub «niewątpliwymi cudami» nie jest wiarą, podobnie jak nadzieja, której

przedmiot jest widoczny, nadzieją nie jest” (T. Hálík). Nie możemy traktować Boga jak stoliczka z bajki i wołać „nakryj się”, tylko dlatego, że ofiarujemy Mu modlitwę i post, oczekując spełnienia naszych zachcianek.

Pan Bóg jest Tajemnicą, a droga do Niego wiedzie przez miłość, która na co dzień może przybierać postać zwykłej życzliwości, gotowości pomocy drugiemu, prostego słowa bez agresji. I nie ma w niej pychy i arogancji!

Łk 2,16-21

Przed reformą liturgiczną, wprowadzoną w drugiej połowie ubiegłego stulecia, dzień po Nowym Roku obchodzono święto Najświętszego Imienia Jezus. Utożsamiano je z pamiątką obrzezania. Po reformie – na pierwszy dzień Nowego Roku przypada uroczystość Świętej Bożej Rodzicielki Maryi.

„Dobrze się składa, że z Nowym Rokiem wkraczamy akurat w Święto Matki Bożej, Maryi Panny. Kilka ostatnich stuleci wypełnione było przeważnie «męskimi» próbami projektowania, planowania, przekształcania” (T. Hálík). A kobieta czuje sercem. „Maryja zachowywała wszystkie te sprawy i rozważała je w swoim sercu” – czytamy w przywołanej Ewangelii św. Łukasza.

W Piśmie Świętym serce to nie siedlisko uczuć, ale głębia człowieka. Serce wspomaga rozum, a nawet zdolne jest dojść tam, gdzie on nie sięga. I tu jesteśmy blisko mistyki. Tego doświadczyli Maryja i Józef – pierwsi, wybrani, godni dotykać Syna Bożego. A także pasterze. Tyle że ci ludzie nie mieli wiele albo nic wspólnego z miłutkimi postaciami ze „świętych”

obrazów czy z szopek. Dwa tysiące lat temu nie cieszyli się taką sympatią jak na przykład dziś nasi, ci z Podhala. Pochodzili z tak zwanego marginesu, z dołów społecznych. Nie mieli dobrej opinii, mimo że ciężko pracowali. Uważano ich za dzikich, niebezpiecznych, nieprzestrzegających Prawa.

Biblia mówi, że gdy „trzymał straż nocną nad swoją trzodą”, „stanął przy nich anioł Pański” i kazał im iść do Betlejem. Słyszymy to co roku... I dobrze, bo „w tę cichą i świętą noc dokonało się dowartościowanie zwykłego, szarego człowieka pracy. Dla Boga, który rodzi się człowiekiem, każdy człowiek jest ważny” (ks. J. Kudasiewicz).

W pierwszy dzień uroczystości Bożego Narodzenia 1980 roku św. Jan Paweł II mówił tak: „To nic, że owej pierwszej nocy (...) radość Bożego Narodzenia dotarła tylko do tych kilku serc. To nic. Jest ona przeznaczona dla wszystkich (...). To jest radość rodu człowieczego. Nadludzka radość! Czyż może być większa radość od tej? Czyż może być lepsza nowina od tej, że człowiek został przyjęty przez Boga za syna w tym Synu Bożym, który stał się człowiekiem?”.

Mk 10,17-30

Opisane przez Marka zdarzenie musiało być niezwykle ważne dla świadków, skoro piszą o nim wszyscy trzej synoptycy: Mateusz, Marek i Łukasz.

Może bohaterem był „pewien zwierzchnik”, jak podaje Łukasz w Biblii Tysiąclecia lub „dostojnik” wedle Biblii Ekumenicznej. Nie jest to ważne. To, co dla niego stanowiło

największą wartość, mienie, bogactwo w zetknięciu z Panem Jezusem staje się czymś innym, aż tak wartościowym, że zmusza do odejścia. Odejścia od wartości najwyższej.

A przecież samo mienie jest czymś dobrym – jak pisze Klemens Aleksandryjski († około 212 roku): „Mieniem jest to, co mamy, i to mieniem pożytecznym, które Bóg zgotował ludziom, by się nim posługiwali”.

Chrześcijaństwo nie było, nie jest i nie będzie zaprogramowaną pauperyzacją społeczeństwa, ale szukaniem Boga ponad wszystko, szukaniem sensu ludzkich dróg. Inaczej: ktoś nadaje sens czy coś ten sens nadaje? Jeżeli człowiek podda się Komuś – Bogu samemu, to wie, jak postępować z czymś.

Ważny jest komentarz Jana Pawła II do tego fragmentu tekstu z Ewangelii św. Marka. Papież pisał: „Nad decyzją odejścia od Chrystusa zaciążyły w końcu tylko bogactwa zewnętrzne: to, co posiadał. (...) Nie to, kim był. To «kim» (...) doprowadziło go do Jezusa”.

I niezależnie od słów papieskiego komentarza, wolno i trzeba pytać, czy owym bogactwem młodego człowieka nie było samozadowolenie z racji wypełniania Prawa: „wszystkiego tego przestrzegałem” – słyszeliśmy przed chwilą.

Dlatego powtórzę myśl z początków rozważań: „to, co dla niego stanowiło największą wartość, mienie, bogactwo w zetknięciu z Panem Jezusem staje się czymś innym, aż tak wartościowym, że zmusza do odejścia. Odejścia od wartości najwyższej”.

Ten fragment Ewangelii bardzo nadaje się zarówno do medytacji, jak i na rekolekcje. By przejąć się tym, że podobnie jak Żydom tamtych czasów, Jezusowych czasów na

ziemi, nie wystarczyło przestrzegać wszystkich przepisów, podobnie chrześcijanom wszystkich czasów nie wystarcza sama pobożność (jak mówi o. Kłoczowski) „kościółkowa”! „Świętość” osobista na zasadzie „wyklęczenia”, „wyspowiadania”, „wysłuchania” nie konfrontowana z tym, co zewnętrzne, w zetknięciu z drugim człowiekiem – to egoizm. To właśnie egoizm wbrew intencjom człowieczym miast przyprowadzać do Boga, odwodzi od Niego. To jest ta „posiadłość”.

Dlatego – dopowiem na samym końcu – Bóg umieścił w sercu Kościoła zakony kontemplacyjne, w których mniszki i mnisi w ciszy, na czuwaniu, w ciężkiej pracy, mówią Mu – Bogu o bólach świata, o bólach chrześcijan i niechrześcijan, o świecie kochanym przez Boga, bo ludziom tego świata obiecano jest „życie wieczne w czasie przyszłym”.

Łk 1,26–38

Gdy zagłębimy się w tajemnicę uroczystości Niepokalane-go Poczęcia Najświętszej Maryi Panny – głównie przez tekst Łukaszowy – od razu dostrzeżemy dwie istotne kwestie.

Pierwszą streszczają słowa św. Jana Pawła II, który tak komentował słowa Ewangelii: „Zgoda Maryi jest zgodą wiary. Znajduje się na linii wiary. Słusznie więc II Sobór Watykański, rozważając postać Maryi – pierwowzoru i modelu Kościoła, postawił Ją jako przykład czynnej wiary właśnie w momencie Jej *fiat*”. I św. Jan Paweł II cytuje tu fragment Konstytucji dogmatycznej o Kościele, który brzmi: „Maryja nie została czysto biernie przez Boga użyta, lecz (...) z wolną wiarą

i posłuszeństwem czynnie współpracowała w dziele ludzkiego zbawienia”. Tyle święty papież i Sobór.

Kwestia druga to konieczność zerwania z wyobrażeniami Matki Pana z poprzednich wieków, zwłaszcza czasów baroku – cukierkowatej, sentymentalnej Pani. Maryja jest kobietą dzielną: prowadziła dialog z archaniołem, samym Bożym wysłannikiem. Urodziła, wychowała, chroniła Syna, była wierna po Krzyż i po zesłanie Ducha Świętego. I jest, stale jest wśród ludu Bożego, by go prowadzić do Syna.

I jeszcze jedno: Maryja uczy sposobu wierzenia – wiary przez dialog. Tylko taka wiara, pytająca „Jak mi się to stanie?”, gwarantuje silny fundament. Bo odpowiedź daje Bóg!

Łk 1,57-66

Można rzec, że wielbienie Boga przez Zachariasza – ojca Jana, jest (ufajmy!) naszym wielbieniem, naszą radością. Zachariasz rozpoznał, że słowo Boga jest mocniejsze od wszystkiego – od przyzwyczajęń, stereotypów, a nawet biologii. W przeddzień przyjścia na ziemski świat Syna Bożego pod wpływem słów Ewangelii rodzi się wśród nas nowa atmosfera, atmosfera radości.

Mądry, wielki teolog niemiecki pisał: „(...) radość jest oczywistym darem nadchodzącego królestwa Bożego”. Bo: „wiara chrześcijańska wyraża się w radości” (W. Kasper).

Życmy sobie – nie tylko w święta – radości, ale jednocześnie zawsze nieśmy ją w sobie, dając ją innym, zwłaszcza za troskanym, chorym, uchodźcom, wygnanym. Wszak Święta Rodzina to też uchodźcy, a Syn Boga Żywego narodził się nie

w pałacu, ale w niedostatkach! Przyniósł jednak i przynosi radość, że nasz Bóg jest naszym Ojcem. Ojcem wszystkich ludzi, ludzi wszystkich religii i wszystkich ras.

Jeden z księży biskupów, kiedy był młody – to było wtedy, gdy i ja młody byłem – mówił nam, studentom: „Nie ma większej radości dla diabła jak sztuczne nabożne twarze chrześcijan, którzy radość zostawili w łonie matki”. Już dziś życzymy sobie prawdziwej radości i o nią się módlmy!

Mk 5,21-43

Dwadzieścia lat temu przy pewnej okazji ks. Józef Tischner mówił: „Prawdziwym problemem człowieka nie jest to, co widzi zmysłami, co odkrywa głową (...). Prawdziwym problemem jest to, co odkrywa sercem”.

Przydarzyło się to – mówię o odkrywaniu sercem – zarówno Jairovi, jak i pewnej kobiecie. Oboje należeli do tych, którzy spodziewali się od Jezusa uzdrowienia i pociechy dla siebie i osoby kochanej! A jedno i drugie: uzdrowienie i pociecha przychodzi od Jezusa przez osobiste, niejako dotykalne spotkanie. Nie anonimowo, nie w tłumie.

Pan rozmawia z człowiekiem: „Nie bój się, wierz tylko!”. Pan dotyka człowieka: „Ująwszy dziewczynkę za rękę...”. I nie tyle kobieta „dotknęła się Jego płaszcza”, ile On pozwolił się dotknąć!

My dziś dotykamy Pana w Jego słowie – w Biblii i Eucharystii, choć tak naprawdę On to sprawia, przychodząc do nas. Z każdego tekstu Ewangelii, gdy Pan rozmawia, uczy, leczy ludzi, wyłania się Jego miłosierdzie: przez naukę,

przez dotyk, przez bycie wśród złaknionych Jego słów i czynów.

Tak jest, było i będzie zawsze! Warto przy tej okazji przypomnieć słowa papieża Franciszka sprzed kilkunastu miesięcy: „Celebracja miłosierdzia osiąga swój cel w Ofierze Eucharystycznej, pamiętacie paschalnego misterium Chrystusa, z którego wypływa zbawienie dla każdego człowieka, dla historii i dla całego świata”.

Dlatego tak ważne jest, by miejsce celebracji – świątynia przede wszystkim, plac, gdzie sprawowana jest Najświętsza Ofiara – wolne były od tego, co uczestników dzieli – głównie od polityki!

Dlatego z radością należy powitać dokument z 25 czerwca 2018 roku pod tytułem „Rady Konferencji Episkopatu Polski do spraw Migracji, Turystyki i pielgrzymek o pielgrzymowaniu narodowym”. Rada pisze między innymi: „Zgodnie z (...) tradycją sanktuarium nie mogą być miejscem manifestowania nienawiści względem grup politycznych, społecznych lub etnicznych (...). Nacjonalista nie jest więc patriotą. Prawdziwy patriotą, miłujący swój naród, nie ulega agresji i instynktom nakazującym wykluczanie i stygmatyzowanie społeczne innych osób, różniących się światopoglądem, wiarą, pochodzeniem etnicznym czy odcieniem skóry”.

Warto zapoznać się z tym dokumentem Episkopatu polskiego, wglębiając się w słowa przywołanego fragmentu tekstu Marka: „Gdy Jezus przeprowił się z powrotem łodzią na drugi brzeg, zebrał się wielki tłum wokół Niego...”. I Pan nie pytał, kto kim był, jak i co myślał. Nawiązał nić przyjaźni, kontaktu, uzdrawiał.

To jest także i dziś ciągle ponawiane zadanie Kościoła, Kościołów chrześcijańskich. to nasze zadanie na teraz, gdy posiliwszy się słowem Bożym i Eucharystią, wyjdziemy na zewnątrz świątyni!

Łk 9,18-24

Pomimo upływu dwóch tysięcy lat, pomimo powstania wielkich dzieł teologicznych, filozoficznych i moralnych (by przypomnieć najbardziej znaczących – Augustyna i Tomasa z Akwinu), wciąż żywe jest pytanie Pana Jezusa: „Za kogo uważają Mnie tłumy?”, i: „A wy za kogo Mnie uważacie?”.

A Ty za kogo uważasz Jezusa? Nie można – od razu odpowiedzieć – zadowolić się wyuczonym, okrągłym, katechizmowym zdaniem. Ta odpowiedź ma nabrać rumieńców, stać się sensem życia człowieka. Ów sens, ów rumieniec nadaje Pan Jezus.

„Miarą prawdziwej religijności jest dla Niego nie litera prawa, lecz człowiek. On żądał nawrócenia, które dotyczyło nie tylko zewnętrznych struktur i form zachowania człowieka, lecz także czynnika zasadniczego w jego postępowaniu – serca” (W. Kasper).

Bo człowiek za Panem Jezusem idzie sercem, kocha Go, myśli o Nim, ma Go przed oczami – choćby wtedy, gdy klęka przed ołtarzem, rozmawia z Nim na Adoracji czy przez Biblię. Kocha Go!

A czy można kochać Boga, nie kochając człowieka? Nie, nie można!

Pamiętamy mądrą formułkę, kończącą się słowami: „a bliźniego swego jak siebie samego”! Dlatego w kontekście tej

Ewangelii i przesłania w niej zamieszczonego warto przypomnieć fragment kazania ks. J. Tischnera z 8 marca 1991 roku: „Nosimy na sobie cały ciężar czasu. A czas jest niehumaniczny, czas jest często antyhumaniczny. Zwłaszcza nasze okolice są bardzo często niehumaniczne. W naszej krainie, obok niesłychanej miłości do bliźnich, ofiarności, kwitnie także mała nienawiść, zazdrość, zawiść. Na drodze do drugiego człowieka ścielą się przeszkody. Jest coś takiego jak kurz na miłości. Miłość jest, ale przysypana kurzem. Spróbujmy zdmuchnąć ten kurz i po nowemu podejść przynajmniej do jednego człowieka. Bo odkrywając tajemnice jednego człowieka, będziemy odkrywać tajemnice całej ludzkości”.

Nie wydaje się, że jego słowa straciły na żywotności – wręcz przeciwnie – winny być wyrzutem sumienia! Bo, dodajmy od siebie: za kogo my uważamy Pana Jezusa? Za człowieka, który żył dwa tysiące lat temu? Czy za Tego, który Jest? Który jest Miłością (tylko i aż)... Wiem: miłość to często wyświechtane, sparciałe słowo. Ale: czy jest inne na opis zbawienia każdego z nas? I wszystkich innych...

Pwt 4,1-2.6-8

Jk 1,17-18.21b-22.27

Mk 7,1-8.14-15.21-23

Co jest zwornikiem, łącznikiem, spoiwem tych tekstów? Jest to religijność, ale zarazem jakże daleko (myślę o pierwszym czytaniu) do praktykowania wiary!

Pisze autor biblijny: „Bo któryż naród wielki ma bogów tak bliskich, jak Pan, Bóg nasz, ilekroć Go wzywamy?”. Pogaństwo miało wielu bogów, niejako zaganianych do różnych ludzkich

czynności. A na dodatek – co jest faktem doskonale udokumentowanym i powszechnie dziś znanym – kiedy Rzymianie podbili jakiś naród, to zazwyczaj przyjmowali jego bogów do swego panteonu. Problem pojawił się z Bogiem Izraela. Nie był to bowiem Bóg podobny do innych, w żadnym stopniu. Dlatego w oczach Rzymian Żydzi – a później i chrześcijanie – jawili się jako bezbożnicy, ateści. Ów Bóg był tajemniczy: nie można zobaczyć Jego oblicza, ani go przedstawiać, a jednocześnie mówi do swojego ludu, daje mu swoje słowo i przekazuje wolę, która znajduje wyraz w Prawie możeszowym. No i żąda, by człowiek przyjął go aktem wiary. Tyle że – i rozumiał to psalmista – „Bożki pogańskie to srebro i złoto, dzieło rąk ludzkich. Mają uszy, ale nie słyszą i nie ma oddechu w ich ustach” (Ps 135).

Tyle o pogaństwie. Judaizm zaś czasów Pana Jezusa zatracił swój dynamizm, tak widoczny po powrocie z niewoli babilońskiej. Obrazem religii stała się – pod okupacją rzymską i w morzu pogaństwa – obrona polityczna. Zachowanie przepisów stało się czymś najważniejszym. Ginał duch. Religijność bowiem, pojmowana przede wszystkim jako wypełnianie rytualnych przepisów, ulega wyjałowieniu – staje się ludzkim działaniem, nie jest już komunikacją z Bogiem.

Stąd tak żywe i stale aktualne jest wezwanie Jakuba Apostoła: „Wprowadzajcie zaś słowo w czyn, a nie bądźcie tylko słuchaczami oszukującymi samych siebie”. Nakazy, pouczenia, zachęta – to ważne od dwóch tysięcy lat. W świecie, w Europie, w Polsce... Wszędzie aktualne są słowa św. Chromacjusza z Akwilei (†408), który komentując odczytany fragment Ewangelii, pisał: „Bóg nie pyta człowieka, czy myje ręce przed jedzeniem, czy nie, ale o to, czy ma serce obmyte z brudu

grzechów i czyste sumienie. Bo zaiste, na co przyda się myć ręce, a mieć skalane sumienie”.

Spójrzmy czasem w siebie, czy aby nie mieszka tam obłuda, dwulicowość, wiara na pokaz.

Ps 16,1-2.5.7-11

Mt 28,8-15

Ewangelia, czyli Dobra Nowina – najlepsza nowina, innej takiej nie mamy, brzmi jasno: „Jezusa wskrzesił Bóg, a my wszyscy jesteśmy jego świadkami”. Wtedy to „my wszyscy” oznaczało garstkę Żydów – uczniów, którzy ruszyli na misje ku Rzymowi, Grecji i całemu obszarowi politycznemu i kulturowemu Imperium. Wtedy.

Dziś to „my” oznacza miliony chrześcijan różnych narodów i ras, którzy do różnych zakątków globu, wymagającego ewangelizacji i re-ewangelizacji, zanoszą codziennie wieść o Panu Jezusie, ukazującym twarz miłosiernego Ojca, który wątpiącym zsyła moc Ducha Świętego. Bo wszyscy, apostołowie i ci, co uwierzyli ich świadectwu, „znaleźli się wobec szczególnego znaku: znaku zwycięstwa nad śmiercią. Jeżeli sam grób przywalony ciężkim kamieniem świadczył o śmierci, to pusty grób i odwalony kamień były pierwszą wieścią o tym, że śmierć została pokonana” (Jan Paweł II).

Co znaczy dziś, teraz, tu i zawsze dla chrześcijan być świadkami? „Oznacza to, że zostaliśmy powołani, aby własnym stylem życia zaświadczyć, że Chrystus żyje. (...) Mamy świadczyć przede wszystkim o tym, że Chrystus żyje dla nas i że żyje w nas” (T. Hálík).

Papież w encyklice *Lumen fidei* pisał: „(...) dzięki nieprzerwanemu łańcuchowi świadectw dociera do nas oblicze Jezusa”. Ale: czy zawsze? Jak jest czasem w praktyce życia codziennego? Jaka jest atmosfera wśród członków rodziny podczas spotkań międzypokoleniowych, na przykład w okresie świątecznym? Jak wygląda stan świadomości religijnej wśród przeciętnych ludzi w Polsce, skoro w szkole jest katechizacja, działają uniwersytety katolickie – prawie każdy uniwersytet państwowy posiada wydział teologiczny, nie mówiąc o mnóstwie wyższych szkół teologicznych (sami tylko jezuici w Polsce mają trzy wyższe uczelnie z prawem habilitacji!)..

Jak wygląda dyskusja polityków mieniących się chrześcijanami, ale reprezentujących odmienne opcje?

Tu stawiam trzy kropki...

A pytania można mnożyć!

Dziś, w drugim dniu Oktawy Wielkanocy, chcę tylko sobie (bo od siebie trzeba zacząć) i każdemu z nas uświadomić, że Pan Jezus na Sądzie Ostatecznym może zadać pytanie: czy korzystaliśmy z wolności religijnej w duchu troski o drugich, świadcząc, że Bóg jest miłością? Wasz głos, głos chrześcijan (tym bardziej nasze czyny) są ważne w XXI wieku, gdy głodują miliony ludzi.

Bardzo aktualne są słowa Psalmu 16 śpiewanego przed Ewangelią: „Ty ścieżkę życia mi ukażesz, pełnię radości przy Tobie i wieczne szczęście po Twojej prawicy”.

Łk 24,35-48

Bez żadnych cudów, nadzwyczajności, dźwięków Pan po prostu „sam stanął pośród nich” – zwyczajnie. A potem pytał: „czemu jesteście zasmuceni?”. Później kazał im patrzeć na siebie, na swe ciało. Mówił też: „dotknijcie Mnie”. Jeszcze pytał: „Macie tu coś do jedzenia?” I jadł na oczach uczniów.

Wszystko, co mówił i czynił, służyło i służy przekonaniu uczniów, że Zmartwychwstały nie jest duchem, nie jest zjawą, ale rzeczywistością. A wszystko po to, by umieli innym przekazywać świadectwo. I tak się stało. I tak się dzieje. I tak będzie aż do końca świata.

Pan nie uprawia indoktrynacji, ale nakazuje, by uczniowie Go dotykali. I patrząc, uwierzyli, że to On jest – Zmartwychwstały! Wpierw byli zatrwożeni, bali się – tekst mówi o „zatrwożonych i wylękłych”. Bo „droga wiary jest drogą od lęku do radości, od ułudy i iluzji ku zdziwieniu i wdzięczności za rzeczywistość przerastającą możliwości naszej wyobraźni” (T. Hálík).

Tylko droga wiary nie jest wędrówką samotnika: idąc, trzeba mówić, świadczyć, pocieszać... Treść wiary to podjęcie decyzji dotyczącej nie mnie, lecz sprawy Jezusa. Jesteśmy świadkami Jezusa Zmartwychwstałego – jest z nami w Eucharystii i w Biblii. A chodzi o to, by sprawę Jezusa „uczynić swoją własną” i pójść z nią do ludzi (W. Kasper).

Mt 6,19–23

„Bo gdzie jest twój skarb, tam będzie i serce twoje”. Jakież może być skarb, gdy stajemy przed Bogiem? Wiara. Jest ona wynikiem trzech elementów: łaski, rozumu i woli. Jakby po scholastycznym to nie zabrzmiało, trzeba to powiedzieć. Łaska – czyli zbawienie w Chrystusie przez wiarę. Nie inaczej! Rozum – który stale używany, szlifowany, mówi, w co i jak mamy wierzyć. Nie może być wiary według zasady: „moi rodzice, dziadkowie tak wierzyli, więc...”. Bo rzecz nie tylko w treści, ale i w formie, sposobie! Wola, która wybiera, w sposób wolny. Bez jej decyzji wiary nie ma! Może być muzeum lub ideologia.

Skarb wiary musi zważać na tak zwane niezachwiane przekonanie. Wielu ludzi, najlepszej woli, poległo na takim manifeście, nieskonfrontowanym z realiami życia. Bo ów skarb, o którym mówi Ewangelia, a więc wiara i jej wyraz, musi zakładać niejasności (choćby słów czy sytuacji), sam ciężar tajemnicy, wahania, pytania: jak? Jak dziś? Jak jutro?

Dlatego ważne są dwie wskazówki odnośnie do wiary jako największego skarbu. Pierwsza – trzeba uważać na tych, którzy mają jedyną receptę – w imieniu wiary oczywiście – na ocalenie świata, a według nich ci, którzy tej recepty nie aprobują – są głupcami. Druga – i jest to uwaga ks. bpa Andrzeja Czai, ordynariusza opolskiego: „(...) być chrześcijaninem to nie to samo co być filantropem – przyjacielem człowieka. Być chrześcijaninem to być Teofilem – przyjacielem Boga!”. Dodajmy: to jest ów skarb! Być przyjacielem Boga!